



W I L B U R
SMITH

Zemsta Nilu

CYKL EGIPSKI

Z wysokich gór schodziły dwie samotne postacie — mężczyźni ubrani w wytarte futra i skórzane czapki z uszami chroniącymi przed chłodem. Mieli nieogolone brody i ogorzałe od wiatru twarze; na plecach nieśli cały swój skąpy dobytek. Przebyli długą i niebezpieczną drogę, żeby dotrzeć do tego miejsca. Meren, który szedł na przodzie, nie wiedział, gdzie się znajdują i dlaczego tak daleko zawędrowali. Wiedział to starzec podążający tuż za nim, lecz jak dotąd nie raczył podzielić się swoją wiedzą z towarzyszem.

Po opuszczeniu Egiptu pokonali wiele mórz, jezior i potężnych rzek, przebyli ogromne równiny i lasy. Napotkali dziwne i niebezpieczne zwierzęta oraz jeszcze dziwniejszych i niebezpieczniejszych ludzi. Później wkroczyli w góry wyglądające jak przedziwny labirynt śnieżnych szczytów i ziejących przepaści, w którym powietrze było tak rozrzedzone, że oddychanie nim sprawiało trudność. Konie padły z zimna, a Meren stracił koniuszek palca, poczerniały i gnijący od mrozu. Na szczęście nie był to palec u ręki, w której trzymał miecz w czasie walki i którą wypuszczał strzały ze swojego ogromnego łuku.

Meren zatrzymał się na krawędzi ostatniego stromego urwiska. Starzec stanął przy jego ramieniu. Był odziany w futro ze skóry śnieżnego tygrysa, którego Meren położył jedną strzałą, gdy bestia na niego skoczyła. Stojąc obok siebie, mężczyźni spoglądali w dół na nieznaną krainę rzek i gęstej zielonej dżungli.

— Od pięciu lat jesteśmy w drodze — rzekł Meren. — Czy to koniec podróży, Magu?

— Niepodobna, by trwało to aż tak długo, mój zacny Merenie — odparł Taita; jego oczy roziskrzyły się żartobliwie pod śnieżnobiałymi brwiami.

W odpowiedzi Meren ściągnął z pleców miecz w skórzanej pochwie i wskazał nacięcia.

— Zaznaczyłem tu każdy dzień — zapewnił. — Możesz przeliczyć. — Meren spędził więcej niż pół życia, towarzysząc Taicie i strzegąc go, a mimo to wciąż nie był pewien, kiedy starzec mówi poważnie, a kiedy sobie z niego żartuje. — Wciąż jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czcigodny Magu. Czy dotarliśmy do kresu podróży?

— Nie — odparł Taita, kręcąc głową. — Ale nie trap się, bo zrobiliśmy dobry początek. — Teraz on wysunął się przed młodszego towarzysza i ruszył wąską półką skalną biegnącą ukosem po ścianie klifu.

Meren spoglądał za nim przez chwilę, a potem jego z gruba ciosane rysy twarzy ułożyły się w uśmiech rezygnacji.

— Czy ten stary łotr nigdy nie przestanie? — mruknął, kierując wzrok na szczyty, następnie zarzucił miecz na plecy i ruszył za Taitą.

Zszedłszy na dół, stanęli przed wieżyczką z białego kwarcu.

— Witajcie, wędrowcy! — doszedł ich głos z góry. — Od dawna czekam na wasze przybycie.

Dwaj mężczyźni zatrzymali się i ze zdziwieniem podnieśli głowy. Na krawędzi skały siedział chłopiec, który mógł mieć nie więcej niż jedenaście lat. Było to dziwne, że nie spostrzegli go wcześniej, bo siedział na widoku; blask słońca odbijał się od kwarcu i otaczał malca świetlistą, rażącą oczy poświatą.

— Przysłano mnie, bym zaprowadził was do świątyni Saraswati, bogini mądrości i odnowy — oznajmił chłopiec miękim, płynnym głosem.

— Ty mówisz po egipsku! — wykrztusił zdumiony Meren.

Chłopiec skwitował uśmiechem bezmyślną uwagę. Jego brązowa twarz przypominała pyszczek psotnej małpki, lecz uśmiech był tak ujmujący, że Meren musiał go odwzajemnić.

— Mam na imię Ganga i jestem posłańcem. Chodźcie! Przed nami jeszcze długa droga. — Chłopiec wstał, gęste czarne włosy

poruszyły się na gołym ramieniu. Było zimno, a mimo to miała na sobie tylko przepaskę biodrową. Jego gładki nagi tors zdawał się ciemnokasztanowy, lecz na plecach wyrastał groteskowy garb jak u wielbłąda. Ganga dostrzegł wyraz twarzy przybyszów. — Przywykniecie do tego tak jak ja — rzekł, po czym zeskoczył z półki skalnej i wziął Taitę za rękę. — Tędy.

Przez dwa dni wiódł wędrowców przez gęsty bambusowy las. Szlak wił się i kluczył, bez przewodnika niechybnie by się zgubili. W miarę schodzenia powietrze robiło się cieplejsze; mężczyźni wreszcie mogli zrzucić futra i nakrycia głowy. Włosy Taity były rzadkie, proste i srebrzyste, a Merena gęste, ciemne i kręcone. Drugiego dnia dotarli do krańca bambusowych zarośli i ruszyli ścieżką w głąb gęstej dżungli. Konary spletały się ponad ich głowami, tworząc galerie, które zasłaniały blask słońca. Ciepłe powietrze było gęste od woni wilgotnej ziemi i gnijących roślin. W górze śmigały jaskrawo ubarwione ptaki, małe małpki szczebiotały i figlowały w koronach drzew, a nad ukwieconymi lianami unosiły się barwne motyle.

Dżungla skończyła się nagle i wędrowcy wyszli na otwartą przestrzeń szerokości mili, sięgającą aż do przeciwległej ściany dżungli. Pośrodku tej olbrzymiej polany wznosił się majestatyczny gmach. Wieże, wieżyczki i tarasy zbudowane były z żółtego jak masło kamienia, a cały kompleks otaczał wysoki mur z tego samego budulca. Posągi i płaskorzeźby zdobiące budowlę wyglądały jak kłębowisko nagich mężczyzn i ponętnych kobiet.

— Koń by zdębiał na widok zabaw, którym te posągi się oddają — rzekł Meren tonem cenzora, lecz jego oczy się zaświeciły.

— Coś mi mów, że nadałbyś się jako model dla tych, którzy je wyrzeźbili — odparł Taita. W żółtym kamieniu przedstawiono wszelkie możliwe konfiguracje złączonych ludzkich ciał. — Z pewnością nie znajdujesz na tych ścianach nic nowego.

— Wprost przeciwnie, wiele mógłbym się nauczyć — stwierdził Meren. — Niektóre z tych rzeczy nawet mi się nie śniły.

— To świątynia wiedzy i odnowy — przypomniał Ganga. — Tutaj akt prokreacji uważany jest za święty i piękny.

— Meren od dawna podziela ten pogląd — zauważył cierpko Taita.

Brukowaną ścieżką dotarli do zewnętrznej ściany świątyni. Wielkie wrota z drewna tekowego się otworzyły.

— Śmiało! — zachęcił Ganga. — *Apsary* was oczekują.

— *Apsary*? — spytał zaskoczony Meren.

— Służebnice świątyni — wyjaśnił Ganga.

Weszli do środka i Taita aż zamrugał oczami na widok wspaniałego ogrodu, w którym się znaleźli. Z gładkich zielonych trawników wyrastały kępy kwitnących krzewów oraz drzewa owocowe, niektóre obwieszane apetycznymi owocami. Nawet Taita, wyśmienity znawca roślin i ogrodnik, nie rozpoznał niektórych egzotycznych gatunków. Grządki mieniły się bogactwem przepysznych kolorów. Nieopodal bramy siedziały na trawniku trzy młode kobiety. Na widok przybyśzów poderwały się i podbiegły do nich lekko. Śmiejąc się i tańcząc z radości, ucałowały obu mężczyzn. Pierwsza *apsara* była szczupła i złotowłosa. Przypominała dziewczynkę o nieskazitelnej, białej jak mleko skórze.

— Witajcie! — zawołała. — Jestem Astrata.

Druga, ciemnowłosa i skośnooka, była w pełnym rozkwicie kobiecości. Jej skóra lśniła jak wosk i wydawała się gładka jak kość słoniowa, która wyszła spod ręki wprawnego rzemieślnika.

— Moje imię brzmi Wu Lu — oznajmiła, głaszcząc z podziwem umięśnione ramię Merena. — Jesteś pięknym mężczyzną.

— A ja mam na imię Tansid — rzekła trzecia *apsara*, wysoka, o posągowych kształtach. Miała turkusowozielone oczy, włosy jak kasztan w płomieniach i nieskazitelnie białe zęby. Kiedy pocałowała Taitę, poczuł jej oddech pachnący niczym kwiaty w ogrodzie. — Witajcie. Czekałyśmy na was. Kaszyap i Samana uprzedzili nas, że przybywacie, i wysłali, abyśmy was powitały. Przynosicie nam radość.

Obejmując jedną ręką Wu Lu, Meren obejrzał się na bramę.

— Dokąd odszedł Ganga? — zapytał.

— Nigdy go tu nie było — odparł Taita. — To leśny duszek. Spełnił zadanie i wrócił do swojego świata.

Meren przyjął to wyjaśnienie. Spędził z Czarownikiem tyle czasu, że nie dziwiły go już nawet najniezwyklesze zjawiska nadprzyrodzone.

Apsary wprowadziły gości do świątyni. Ogród zalewało

gorące światło słońca, a wysokie ściany świątyni były chłodne i ciemne; powietrze wypełniała woń kadzideł ustawionych przed złotymi wizerunkami bogini Saraswati. Stali przed nimi w modlitewnych pozach kapłani i kapłanki, ubrani w zwiewne szafranowe szaty, w półmroku niczym motyle przesuwały się *apsary*. Niektóre podeszły, żeby objąć i ucałować przybyszów. Gładziły Merena po ramionach i klatce piersiowej, dotykały srebrnej brody Taity.

Wu Lu, Tansid i Astrata wzięły ich za ręce i długą galerią zaprowadziły do kwater mieszkalnych świątyni. W refektarzu podały im misy z duszonymi warzywami i czary ze słodkim czerwonym winem. Mężczyźni tak długo musieli się zadawać byle jaką strawą, że nawet Taita chciwie pochłaniał smakołyki. Kiedy się nasycili, Tansid poprowadziła Taitę do komnaty, którą dla niego przeznaczono. Pomogła mu zdjąć ubranie i stanąć w miedzianej misie napełnionej ciepłą wodą, a następnie zwilżyła gąbką jego zmęczone ciało. Zachowywała się niczym matka pielęgnująca dziecko; jej ruchy okazały się tak naturalne i delikatne, że Taita nie czuł wstydu nawet wtedy, gdy dotykała gąbką okropnej blizny po kastracji. Później wytarła go i zaprowadziła do maty; usiadła obok i nuciła delikatnym głosem, aż zmorzył go głęboki, wolny od mar sen.

Wu Lu i Astrata zabrały Merena do drugiej komnaty. Umyły go tak samo jak Tansid Taitę, a następnie ułożyły do snu. Meren usiłował je zatrzymać, lecz był wyczerpany i robił to bez przekonania. Kobiety wymknęły się, chichocząc. Po chwili wojownik zasnął.

Spał dopóty, dopóki światło dnia nie zaczęło się sączyć do wnętrza komnaty, i obudził się wypoczęty i odmłodzony. Jego brudne, poprzecierane ubrania znikły, a na ich miejscu leżała świeża, luźna tunika. Ledwo zdążył się ubrać, gdy usłyszał słodki kobiecy śpiew i głosy osób zbliżających się korytarzem. Dwoje dziewcząt wpadło do środka z porcelanowymi naczyniami i dzbanami soku owocowego. Spożywając posiłek z Merenem, *apsary* mówiły doń po egipsku, lecz rozmawiając między sobą, mieszały kilka języków; wydawało im się to naturalne. Rzecz jasna, każda faworyzowała swój język ojczysty. Astrata była Jonką, co tłumaczyło złoty kolor jej pięknych włosów, a w głosie Wu Lu pobrzmiwały dźwięczne tony dalekiego Cathayu.

Po zakończeniu posiłku wyprowadziły Merena do ogrodu; promienie słońca igrały w wodzie tryskającej z fontanny do głębokiej sadzawki. *Apsary* zrzuciły lekkie odzienie i nago zanurzyły się w basenie. Widząc, że Meren się ociąga, Astrata wyszła po niego; jej włosy i ciało ociekały wodą. Śmiejąc się, zdjęła z Merena tunikę i zaczęła wciągać go do basenu. Wu Lu pospieszyła jej na pomoc, a gdy Meren znalazł się w basenie, zaczęły dokazywać i pryskać się wodą. Wkrótce Meren pozbył się skromności i odrzucił wstydlivość tak jak one. Astrata umyła mu włosy; z podziwem spoglądała na bitewne blizny na jego twardych mięśniach.

On zaś podziwiał doskonale ciała *apsar*, ocierających się o niego. Ich ręce ani przez chwilę nie próżnowały pod powierzchnią wody. Czując, że jest rozbudzony, zapiszczały z radości i zaprowadziły go do małego pawilonu pod drzewami. Na kamiennej posadzce leżały tam rozesełane dywany i jedwabne poduszki; *apsary* ułożyły na nich ociekającego wodą Merena.

— Teraz oddamy cześć bogini — oznajmiła Wu Lu.

— Jak to uczynimy? — zapytał Meren.

— Nie lękaj się. Pokażemy ci — zapewniła Astrata.

Przywarła do jego pleców swoim jedwabistym ciałem, całując go w uszy i szyję; jej ciepły brzuch przylgnął do jego pośladków. Wyciągnęła ręce, by pieścić Wu Lu, która całowała Merena w usta i oplatała go rękami i nogami. Dziewczęta doskonale opanowały arkana sztuki miłosnej. Po chwili trzy ciała zwały się w jedno, z sześcioma ramionami, sześcioma nogami i trzema parami ust.

Taita przebudził się wcześniej, podobnie jak Meren. Choć długa podróż go wyczerpała, kilka godzin snu przywróciło siłę jego ciała i duchowi. Światło brzasku napełniło komnatę; Taita usiadł na macie i zobaczył, że nie jest sam.

Tansid uklękła obok i uśmiechnęła się do gościa.

— Dzień dobry, Magu. Przyniosłam ci jedzenie i napitki. Kiedy się posilisz, Kaszyap i Samana będą chcieli się z tobą spotkać.

— Kim oni są?

— Kaszyap to nasz czcigodny arcykapłan, a Samana to nasza

najwyższa kapłanka. Oboje są wielkimi czarownikami tak jak ty.

Samana czekała na Taitę w altanie w świątynnym ogrodzie. Była przystojną kobietą w nieokreślonym wieku, ubraną w szafranową tunikę. W jej gęstych włosach nad uszami połyskiwały srebrne pasemka, a z oczu biła nieskończona mądrość. Ucisnęła Taitę, a potem kazała mu usiąść obok siebie na marmurowej ławeczce. Zapytała o podróż.

— Bardzo się cieszymy, że zdążysz spotkać się z arcykapłanem. Kaszyap nie pozostanie z nami długo. To właśnie on po ciebie posłał.

— Wiedziałem, że zostałem wezwany tutaj, ale nie wiedziałem przez kogo — rzekł Taita, kiwając głową. — Dlaczego Kaszyap chce mnie widzieć?

— On sam ci to wyjawi — odparła Samana. — Chodźmy do niego.

Wstała i ujęła rękę Taity. Zostawili Tansid samą; Samana poprowadziła gościa korytarzami i krużgankami, a później spiralnymi schodami, które wydawały się ciągnąć bez końca. Wreszcie znaleźli się w małym okrągłym pomieszczeniu na szczycie najwyższego minaretu świątyni. Ze wszystkich stron roztaczał się widok na zieloną dżunglę i dalekie, ośnieżone wierzchołki łańcuchów górskich na północy. Na środku podłogi leżał miękki materac z poduszkami, na których siedział mężczyzna.

— Usiądź naprzeciwko — szepnęła Samana. — Arcykapłan jest prawie całkowicie głuchy, musi widzieć twoje usta, kiedy będziesz mówił. — Taita poszedł za radą Samany; usiadł i przez chwilę on i Kaszyap patrzyli na siebie.

Kaszyap był bardzo sędziwy. Jego oczy były blade i przygasłe, dziąsła pozbawione zębów, skóra sucha jak stary pergamin, a włosy, broda i brwi wyglądały jak przezroczyste szkło. Dłonie i głowa drżały mu nieustannie.

— Dlaczego po mnie posłałeś, magu? — zapytał Taita.

— Bo twój umysł jest trzeźwy — odparł szeptem Kaszyap.

— Skąd mnie znasz?

— Twoja ezoteryczna moc wywołuje zakłócenia w eterze, wyczuwa się ją z daleka.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Niczego i wszystkiego, może nawet życia — odrzekł

Kaszyap.

— Mów jaśniej.

— Biada! Zwlekałem za długo. Czarny tygrys śmierci zbliża się do mnie. Odejdę przed zachodem słońca.

— Czy zadanie, które mi wyznaczyłeś, jest pilne?

— Bardziej niż sobie wyobrażasz.

— Co mam uczynić? — spytał Taita.

— Chciałem dać ci oręż do walki, która cię czeka, lecz dowiedziałem się od *apsar*, że jesteś eunuchem. Tego nie mogłem wiedzieć. Nie mogę przekazać ci mojej wiedzy w sposób, w jaki zamierzałem to uczynić.

— Jakiż to sposób?

— Wymiana cielesna.

— Znów muszę wyznać, że nie rozumiem.

— Musiałyby dojść do stosunku seksualnego między nami. Jednakże z powodu twojego okaleczenia nie jest to możliwe. — Taita milczał. Kaszyap wyciągnął pomarszczoną dłoń i położył ją na jego ręce. Łagodnym głosem mówił dalej: — Twoja aura pokazuje mi, że mówiąc o okaleczeniu, uraziłem cię. Żałuję, ale zostało mi niewiele czasu i muszę mówić bez ogródek.

Taita wciąż milczał.

— Postanowiłem dokonać wymiany z Samaną — ciągnął Kaszyap. — Jej umysł także jest jasny. Kiedy odejdę, ona przekaże ci to, co ode mnie uzyskała. Przykro mi, że cię obraziłem.

— Prawda może być bolesna, ale ty nie zadałeś mi bólu. Uczynię wszystko, czego sobie życzysz.

— Zostań więc z nami, a ja przekażę wszystko Samanie, całą wiedzę i mądrość, którą zdobyłem w ciągu długiego życia. Później ona podzieli się nią z tobą i dzięki temu będziesz mógł spełnić świętą misję, która jest twoim przeznaczeniem.

Taita skłonił głowę.

Samana klasnęła mocno w dłonie i w tej samej chwili zjawiły się dwie *apsary*, obie młode i piękne; jedna miała ciemne włosy, a druga jasne jak złocisty miód. Samana zaprowadziła je do małego mosiężnego kociołka stojącego przy ścianie; dziewczęta pomogły jej przyrządzić nad żarem silnie pachnący wywar z ziół. Gdy napój był gotowy, *apsary* podały go Kaszyapowi. Jedna podtrzymała jego drżącą głowę, a druga przyłożyła czarę

do ust. Przeor wypił napój, głośno siorbiąc i roniąc krople na brodę, a potem legł zmęczony na materacu.

Apsary rozebrały go delikatnie i z wielkim szacunkiem, a następnie rozlały na jego łędźwie pachnący balsam z alabastrowego flakonika. Łagodnie, lecz wytrwale wymasowały mu męskość. Kaszyap jęknął i przetoczył głowę w jedną i drugą stronę, ale pod zręcznymi dłońmi *apsar* i dzięki sile narkotyku jego członek nabrzmiał i wyprostował się.

Kiedy osiągnął pełny wzwód, Samana podeszła do materaca i uniosła na wysokość bioder krawędź szafranowej tuniki, odsłaniając pięknie rzeźbione uda i krągłe, silne pośladki. Usiadła okrakiem na Kaszyapie, ujęła jego członek i wsunęła w siebie. Wtedy puściła rąbek tuniki i zaczęła kołysać się łagodnie.

— Panie, jestem gotowa przyjąć wszystko, co zechcesz mi dać — wyszeptła.

— Z chęcią ci to powierzam — odparł Kaszyap słabym, chrapliwym głosem. — Używaj tego dobrze i roztropnie. — Znów przetoczył głowę w jedną i drugą stronę, rysy jego starej twarzy ściągnęły się straszliwie. Potem stęknął i zesztyniał, jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Żadne z tych dwojga nie poruszyło się niemal przez godzinę. Wówczas z gardła Kaszyapa wydarł się jęk i arcykapłan wydał ostatnie tchnienie.

Samana zdusiła krzyk.

— Nie żyje — rzekła z ogromnym smutkiem i współczuciem. Uniosła się, delikatnie odłączając się od ciała Kaszyapa. Uklękła obok i zamknęła starcowi blade oczy. Potem spojrzała na Taitę.

— O zachodzie słońca spalimy jego cielesną powłokę. Kaszyap był mi opiekunem i patronem przez całe życie, więcej niż ojcem. Teraz esencja jego istoty żyje we mnie. Zjednoczyła się z moją duszą. Wybacz, Magu, lecz może upłynąć trochę czasu, nim dojdę do siebie po tym bolesnym doświadczeniu. Wtedy przyjdę do ciebie.

Wieczorem Taita stanął obok Tansid na małym, spowitym półmrokiem tarasie przed swoją komnatą i patrzył na stos pogrzebowy w ogrodzie świątyni, na którym płonęły zwłoki Kaszyapa. Przepęłniał go głęboki żal, że nie poznał starca wcześniej. Ich spotkanie było bardzo krótkie, a mimo to czuł

łączącą ich więź duchową.

Cichy głos wyrwał go z zadumy. Czarownik się odwrócił i ujrzał Samanę, która podeszła niemal bezszelestnie.

— Kaszyap też wiedział o istniejącej między wami więzi. — Samana stanęła przy boku Taity. — Ty także jesteś sługą Prawdy. Właśnie dlatego wezwał cię tak pilnie. Sam by się do ciebie udał, gdyby ciało było w stanie zanieść go tak daleko. W czasie cielesnej wymiany, której byłeś świadkiem, swojej ostatniej wielkiej ofiary złożonej Prawdzie, Kaszyap przekazał mi to, co mam ci teraz powierzyć. Zanim to uczynię, mam poddać próbie twoją wiarę. Powiedz mi, Taito z Gallali, w co wierzysz?

Taita milczał przez chwilę, a potem odparł:

— Wierzę, że świat jest polem bitwy dwóch mocarnych zastępów. Pierwszy jest zastępem bogów Prawdy. Drugi to zastęp demonów Kłamstwa.

— Jaką rolę my, słabi śmiertelnicy, możemy odegrać w tych kosmicznych zmaganiach? — spytała Samana.

— Możemy poświęcić się Prawdzie lub pozwolić, by pochłonęło nas Kłamstwo.

— Jeśli wybierzemy słuszną ścieżkę Prawdy, jak możemy się oprzeć ciemnej mocy Kłamstwa?

— Wspinając się na Wieczną Górę dopóty, dopóki nie ujrzymy wyraźnie oblicza Prawdy. A gdy to osiągniemy, zostaniemy przyjęci do szeregów Dobrych Nieśmiertelnych, bojowników Prawdy.

— Czy takie jest przeznaczenie wszystkich ludzi?

— O nie! Tylko bardzo nieliczni, najzaciejsi z nich dostąpią tej łaski.

— Czy u kresu czasów Prawda zatriumfuje nad Kłamstwem?

— Nie! Kłamstwo przetrwa, lecz przetrwa też Prawda. Losy bitwy są zmienne, ale jest ona wieczna.

— Czy Prawda nie jest Bogiem?

— Bez względu na to, jak go nazwiemy... Ra, Ahura Maasda, Wisznu, Zeus lub innym imieniem, które wydaje się komuś najświętsze... Bóg jest Bogiem, jedynym jedynym. — W taki sposób Taita przedstawił swoje wyznanie wiary.

— Widzę po twojej aurze, że w twych słowach nie było ani śladu Kłamstwa — oznajmiła cicho Samana, klękając przed Taitą. — Dusza Kaszyapa we mnie wie teraz, że zaiste jesteś

sługą Prawdy. Możemy bez przeszkód podjąć nasze wyzwanie.

— Objaśnij mi, na czym ono polega, Samano.

— W tych strasznych czasach szala znów przechyliła się na korzyść Kłamstwa. Wyrosła nowa groźna siła, zagrażająca całemu ludzkiemu plemieniu, lecz najbardziej Egiptowi, twojej ojczyźnie. Zostałeś wezwany po to, by uzyskać oręż do walki z tą straszną potęgą. Otworzę ci Oko Wewnętrzne, byś ujrział wyraźnie drogę, którą musisz podążać. — Samana wstała i objęła Maga, a potem mówiła dalej: — Czasu jest niewiele. Zaczniemy jutro o świcie. Przedtem jednak muszę wybrać pomocnika.

— Spośród kogo? — zapytał Taita.

— Twoja *apsara*, Tansid, już mi wcześniej pomagała. Wie, co jest potrzebne.

— Więc wybierz ją — zgodził się Taita.

Samana skinęła głową i wyciągnęła rękę do Tansid. Kobiety uściślały się, a potem spojrzały na Taitę.

— Ty musisz wybrać swojego pomocnika — oznajmiła Samana.

— Powiedz, jaki powinien być.

— Musi mieć siłę i pewność, a także współczucie dla ciebie.

A ty musisz mu ufać.

Taita odpowiedział od razu:

— Meren!

— Naturalnie — rzekła Samana.

O świcie cała czwórka ruszyła w stronę gór ścieżką przez dżunglę, która wspiwała się aż do bambusowego gąszczu. Samana obejrzała wiele kołyszących się żółtych drzew; wreszcie wybrała dojrzały pień i kazała Merenowi wyciąć giętki kawałek. Wojownik dzwignął go i poniósł do świątyni.

Samana i Tansid wykroiły z niego garść długich bambusowych igieł. Polerowały je tak długo, aż igły były niewiele grubsze od ludzkiego włosa, lecz ostrzejsze i giętsze od najlepszego brązu.

W beztroską atmosferę świątyni wdarło się napięcie i oczekiwanie. Śmiechy i radosne pogawędki *apsar* przycichły. Tansid spoglądała na Taitę z podziwem zaprawionym uczuciem zbliżonym do litości. Samana spędzała większość dni z

Czarownikiem, podbudowując go przed ciężką próbą. Rozprawiali o wielu rzeczach, a przez Samaną przemawiał głos i mądrość Kaszyapa.

Taita poruszył kwestię, która od dawna go zaprzętała.

— Widzę, że długo żyjesz na tym świecie, Samano.

— Podobnie jak ty, Taito.

— Jak to się dzieje, że tak nieliczni z nas żyją znacznie dłużej niż reszta ludzi? — spytał Czarownik. — To coś więcej niż natura.

— W moim wypadku oraz ludzi takich jak arcykapłan Kaszyap być może decyduje tryb życia, to co jemy i pijemy, co myślimy i w co wierzymy. A może to, że mamy cel, do którego dążymy, bodziec, który nas popycha.

— A jak jest ze mną? Choć w porównaniu z tobą i arcykapłanem jestem młokosem, przeżyłem większość innych ludzi — odparł Taita.

Samana się uśmiechnęła.

— Masz jasny umysł. Jak dotąd siła twojego rozumu zdołała przewyciężyć słabość ciała, lecz w końcu wszyscy musimy umrzeć tak jak Kaszyap.

— Odpowiedziałas na pierwsze pytanie, ale mam następne. Kto mnie wybrał? — Taita wiedział, że jego pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Samana posłała mu słodki, tajemniczy uśmiech i pochyliła się, by położyć mu palec na ustach.

— Zostałeś wybrany — szepnęła. — Niech to ci wystarczy.

Taita wiedział, że dotarli do granic jej wiedzy; dalej nie mogła się zapuścić.

Siedzieli razem i medytowali przez cały dzień i połowę nocy; rozmyślali o wszystkim, co między nimi zaszło. Później zabrała go do swojej sypialni i spali spleceni jak matka i dziecko, aż do chwili gdy brzask wypełnił komnatę światłem. Wtedy wstali, wykąpali się razem, a potem Samana zabrała Czarownika do starego kamiennego budynku, ukrytego w narożniku ogrodu, którego Taita jeszcze nie odwiedził. Tansid już tam była i krzątała się przy marmurowym stole stojącym pośrodku dużej sali. Gdy weszli, spojrzęła na nich.

— Szykowałam ostatnie igły — odezwała się. — Ale jeśli chcecie być sami, odejdę.

— Zostań, kochana Tansid — odparła Samana. — Twoja

obecność w niczym nam nie przeszkodzi. — Wzięła Taitę za rękę i oprowadziła po sali. — Ten dom zaprojektowali pierwsi arcykapłani, na samym początku. Potrzebowali dobrego światła do operacji. — Wskazała dłonią duże otwarte okna umieszczone wysoko w ścianach. — Na tym marmurowym stole więcej niż pięćdziesiąt pokoleń arcykapłanów wykonywało operację otwarcia Oka Wewnętrznego. Każdy z nich był mędrcem; tak nazywamy adeptów, tych, którzy widzą aurę zwierząt i ludzi. — Samana wskazała napisy wyryte na ścianach. — Oto zapiski tych, którzy byli tu przed nami w ciągu stuleci i tysiąclecia. Między nami nie może być żadnych niedopowiedzeń. Nie będę dawać ci fałszywych zapewnień, bo przejrzysz mnie, zanim otworzę usta. Mówię ci więc prawdę. Pod przewodnictwem Kaszyapa dopiero przy czwartej próbie udało mi się otworzyć Oko Wewnętrzne. — Skierowała dłoń na ostatnie zapiski. — Oto odzwierciedlenie moich prób. Może z początku brakowało mi wprawy i zręczności. Może moi pacjenci nie dotarli wystarczająco daleko właściwą ścieżką. W jednym wypadku wynik był katastrofalny. Ostrzegam cię, Taito, ryzyko jest wielkie. — Samana milczała przez chwilę, rozmyślając nad własnymi słowy. — Przede mną byli inni, którym się nie powiodło. Spójrz! — Podprowadziła Taitę do na wpół zatartych, omszałych inskrypcji na samym końcu ściany. — Są tak stare, że bardzo trudno je odczytać, ale powiem ci, o czym mówią. Prawie dwa tysiące lat temu przybyła do świątyni pewna niewiasta. Była ostatnią ze starożytnego ludu zamieszkującego niegdyś wielkie miasto Ilion nad Morzem Egejskim, najwyższą kapłanką Apollina. I była długowieczna tak jak ty. Po zburzeniu miasta setki lat wędrowała po ziemi, gromadząc mądrość i nauki. Ówczesny arcykapłan miał na imię Kurma. Obca kobieta przekonała go, że jest bojowniczką Prawdy. W ten sposób nakłoniła arcykapłana do otwarcia jej Oka Wewnętrznego. Zabieg okazał się skuteczny, Kurma był zdumiony i uradowany. Długo po tym, jak kobieta opuściła świątynię, Kurmą zaczęły targać wątpliwości i złe przeczucia. Szereg strasznych zdarzeń uświadomił mu, że niezajoma była uzurpatorką, adeptką lewej ścieżki, służebnicą Kłamstwa. Wreszcie odkrył, że za pomocą czarów uśmierciła tę, która naprawdę została wybrana. Podszyła się pod zamordowaną i zdołała ukryć swoją prawdziwą naturę tak dobrze, że zwiódła

arcykapłana.

— Co się stało z tym nikczemnym stworzeniem?

— Pokolenia arcykapłanów świątyni Saraswati usiłowały ją wytropić. Ona jednak dobrze się zamaskowała i znikła. Może już nie żyje. To najlepsze, czego możemy sobie życzyć.

— Jak brzmiało jej imię? — spytał Taita.

— Tu jest zapisane! — Samana dotknęła palcem inskrypcji. — Zwała się Eos, przyjęła imię siostry boga słońca. Teraz już wiem, że nie było to jej prawdziwe imię. Ale jej duchowym znakiem była kocia łapa. Oto ona.

— Ilu jeszcze ludziom operacja się nie powiodła? — Taita chciał odsunąć od siebie czarne przecucia.

— Wielu.

— Opowiedz mi o tym, co przydarzyło się tobie.

Samana zastanowiła się przez chwilę.

— Byłam jeszcze wtedy nowicjuską. On miał na imię Wotad, był kapłanem boga Wodena. Jego skórę pokrywały święte niebieskie tatuaże. Przybył do świątyni z północy, zza Morza Zimnego. Był potężnie zbudowany, lecz zginął pod bambusową igłą. Nawet jego ogromna siła nie zdołała się oprzeć mocy, którą rozpełtało w nim otwarcie. Mózg pękł, krew trysnęła z nosa i uszu. — Samana westchnęła. — To była straszna śmierć, ale szybka. Może Wotad miał więcej szczęścia niż inni, których spotkało to wcześniej. Oko Wewnętrzne może ukąsić człowieka niczym jadowity wąż. Potworności, które ujawnia, są czasem zbyt straszne i trudno przeżyć z ich obrazem.

Przez resztę dnia milczeli; tylko Tansid uwijała się przy kamiennym stole, polerując bambusowe igły i rozkładając instrumenty chirurgiczne.

Samana podniosła wzrok na Taitę.

— Teraz wiesz, co ci grozi. Nie musisz wziąć na siebie ryzyka, wybór należy do ciebie.

Taita pokręcił głową.

— Nie mam wyboru. Wiem już, że dokonano go za mnie w dniu, w którym przyszedłem na świat.

Tej nocy Tansid i Meren spali w komnacie Taity. Przed zgaszeniem lampy Tansid przyniosła Taicie porcelanową

miseczkę z ciepłym wywarem z ziół. Gdy tylko go wypił, rozciągnął się na macie i zapadł w głęboki sen. Meren zbudził się dwa razy w nocy, żeby słuchać jego oddechu i przykryć go, gdy zimne powietrze wsączyło się do komnaty.

Obudziwszy się, Taita ujrzał Samanę, Tansid i Merena, którzy siedzieli wokół jego maty.

— Jesteś gotów, Magu? — zapytała nieodgadnionym tonem Samana.

Taita skinął głową, lecz Meren rzekł porywczo:

— Nie gódź się. Nie pozwól im tego zrobić, to jest złe.

Taita chwycił go za umięśnione przedramię i lekko potrząsnął.

— Wybrałem cię do tego zadania, potrzebuję cię. Nie spraw mi zawodu, Merenie. Jeśli będę musiał uczynić to sam, kto wie, jak to się skończy? Razem sobie poradzimy, tyle razy zwyciężaliśmy. — Meren oddychał nierówno, głęboko. — Czyś gotów, Merenie? Czy stoisz u mego boku tak jak zawsze?

— Wybacz mi, okazałem słabość, lecz teraz jestem już gotów, Magu — wyszeptał Meren.

Samana poprowadziła ich przez zalany jasnym słonecznym światłem ogród do starożytnego budynku. Przy jednym końcu stołu leżały instrumenty chirurgiczne, a przy drugim stał mosiężny kociołek, nad którym mieniło się rozgrzane powietrze. Na posadzce pod stołem leżał dywanik z owczego runa. Taita bez pytania wiedział, co czynić: uklęknął na środku dywanika twarzą do stołu. Samana skinęła Merenowi głową; najwyraźniej został poinstruowany, co ma robić. Wojownik uklęknął za Taitą i otoczył go ramionami, tak że starzec nie mógł się poruszyć.

— Zamknij oczy, Merenie — poleciła Samana. — Nie patrz. — Stanęła nad nimi i podała Taicie pasek skóry, by zacisnął na nim zęby. Czarownik pokręcił głową. Samana uklękła przed nim ze srebrną łyżeczkę w prawej dłoni; dwoma palcami drugiej ręki rozchyliła powiekę prawego oka Taity.

— Zawsze przez prawe oko — wyszeptała. — To strona Prawdy. — Rozchyliła powiekę jeszcze szerzej. — Trzymaj mocno, Merenie!

Meren mruknął i zacieśnił chwyt; jego ramiona były teraz jak obręcz z brązu. Samana wsunęła starcowi łyżeczkę pod powiekę i mocnym, pewnym ruchem umieściła ją za gałką oczną. Gałka zwiśla niczym jajko na policzku Taity, dyndając na wiazce

nerwów wzrokowych. Pusty oczodół wyglądał jak głęboka różowa jaskinia błyszcząca od łez. Samana podała srebrną łyżeczkę Tansid, która odłożyła ją na bok i wybrała jedną z bambusowych igieł. Wsunęła koniuszek w ogień, aż bambus zaskwierczał i stwardniał. Wciąż dymił, gdy podawała go Samanie. Z igłą w prawej dłoni Samana schyliła głowę i zajrzała w pusty oczodół Taity. Oceniała położenie i kąt nachylenia ścieżki optycznej biegnącej w głąb czaszki.

Powieka Taity drżała i kurczyła się pod palcami Samany. Ta jednak nie zwracała na to uwagi. Powoli wprowadziła igłę w jamę oka, aż czubek bambusu dotknął otworu ścieżki. Zwiększała nacisk, dopóki nie przebiła błony, i wsunęła igłę do środka wzdłuż nerwu, nie uszkadzając go. Igła wchodziła coraz głębiej niemal bez oporu. Kiedy tkwiła prawie na długość palca w czołowym płacie mózgowym, Samana wyczuła prawie niedostrzegalny opór — ostrze igły dotknęło wiązki włókien nerwowych w miejscu ich skrzyżowania. Igła dotarła do bramy. Następny ruch musiał być bardzo precyzyjny. Wyraz twarzy Samany pozostał spokojny, lecz jej nieskazitelna skóra pokryła się cieniutką warstwą potu, a oczy się zwężyły. W skupieniu wykonała ostatnie pchnięcie. Nie wyczuła żadnej reakcji Taity. Wiedziała, że chybiła celu. Minimalnie cofnęła igłę, ustawiła ją, a potem wsunęła na tę samą głębokość, ale nieco wyżej.

Taita zadrżał i wydał lekkie westchnienie. A potem zwiśł bezwładnie w ramionach Merena i stracił świadomość. Meren został uprzedzony, że tak się stanie, bo podsunął mocarną dłoń pod brodę ukochanego mistrza, by głowa nie opadła. Samana wyjęła igłę z oczodołu tak samo ostrożnie, jak ją wsunęła. Nachyliła się, żeby obejrzeć otwór w tkance wyściełającej wewnątrz jamy. Nie było krwi. Krawędzie maleńkiej ranki zamknęły się samorzutnie.

Samana mruknęła z aprobatą, a następnie za pomocą łyżeczki umieściła zwisającą gałkę oczną z powrotem w oczodole. Powieka Taity drgnęła i wróciła na swoje miejsce. Samana sięgnęła po bandaż, który Tansid nasączyła leczniczym roztworem i ułożyła na krawędzi stołu, a potem owinęła go wokół głowy Taity, zawiązując oczy i starannie zaciskając węzeł.

— Merenie, zanieś go do komnaty, najszybciej jak zdołasz, zanim odzyska przytomność.